



Wychodzi we
Lwowie z końcem
każdego miesiąca.
Wkładka roczna
z prenumeratą
wynosi 2 k. 40 h.
Dla nauczycieli
Tow. i uczniów
tylko 1 k. 40 h.
z przesyłką
1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK

galicyjskiego

TOwarzystwa Ochrony Zwierząt.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt.

Administracya
i ekspedycya
we Lwowie pl.
Bernardyński 7.
dotąd wszystkie
pisma — za
wkładki i prenu-
meraty adreso-
wać należy:
Adolf Mussil ul.
Kar. Ludwika 7.

REDAKTOR: DR. JÓZEF LIMBACH.

Mruczka *).

Panna Henryka i jej służąca Anusia, uzbrojone jedna w pióro, druga w szczotkę, codziennie od rana do wieczora walczyły z kurzem. Przechodzące w namietność zamięłowanie do porządku stało się przewodnią myślą ich życia. Zarówno też pani jak i służąca lękały się jak największej plagi, mężczyzn-dzieci i zwierząt wszelkiego rodzaju, tych, jak wiadomo, najwię-kszych wrogów wzorowego porządku w domu.

Pewnego wiosennego poranku, podczas gdy Anusia zaga-dała się w sieni z kucharką „z przeciwka“, jakaś kotka wśli-znęła się do kuchni. Rozejrzała się dokoła i zamiauczała zado-wolona, jakby chcąc powiedzieć:

— Dobrze tu jest!

Anusia wszedłszy z pękiem bzu w jednej ręce, a z dzban-kiem mleka w drugiej, ostupiała.

*) Ładną tę powiastkę umieściło niedawno „Słowo Polskie“.

— Panienko! — krzyknęła przerażona — kot w kuchni!

— Co? kot u nas? — zawołała oburzona panna Henryka, wychylając się z pokoju w papilotach. — Wypędź mi zaraz to paskudztwo!

— Miau! — pisnęła cicho kotka, podnosząc różowy nosek i szmaragdowe oczy ku dzbankowi z mlekiem. — Miau!

— Czekaj, dam ja ci miau! — groziła Anusia, pozbywszy się mleka i bzu i chwytając wielką szczotkę. — Psik!

— A psik, a psik! — wtórowała panna Henryka.

Kotka nie obawiała się groźb, ani krzyku. Widząc zbliżającą się szczotkę, przewróciła się na grzbiet, chwyciła szczotkę łapkami i poczęła gryźć pęk szczeciny.

— A to dobrze! — zawołała panna Henryka rozweselona. To dopiero impertynencya!

— Młode to — zauważyła Anusia. Nie wierzy, żeby mu kto chciał krzywdę zrobić... Ach, to kotka nawet! Ładna, bo ładna...

Panna Henryka nachyliła się, aby lepiej zobaczyć.

Ale Anusia polecenia spełnić nie mogła, gdyż nikt z sąsiedztwa do kotki się nie przyznawał.

— Może to głodne... Daj jej Anusiu mleka!

Gdy Anusia postawiła na ziemi talerz z mlekiem, kotka podeszła powoli, obwąchała go przezornie, wreszcie poczęła pić z apetytem. — Po spożyciu mleczka zabrała się do robienia toalety.

I stare panny spostrzegły się zawstydzone, że patrząc na kocie figle, zapomniały o zwykłych zajęciach.

Ale zanim dwa dni minęły, życzyły sobie po cichu, aby się nie znalazł właściciel białej kotki. Trzeciego dnia wyznały głośno to skryte życzenie i drżały za każdym odgłosem dzwonka. Po tygodniu przywłaszczyły sobie ostatecznie małą przybłądę i nazwały ją „Mruczką“.

I pani i służąca poddawały się teraz chętnie kaprysom białej kotki... Rano Mruczka wylegiwała się na puchowej pościeli panny Henryki, po obiedzie odpoczywała na haftowanych poduszkach w salonie. Gdy Mruczka nie domagała, pani i służąca pielęgnowały ją tkliwie w dzień i w nocy na przemian, lub nawet obie razem. Panna Henryka i Anusia pokochały Mruczkę, Mruczka przywiązała się do obydwóch i wszystkie były bardzo szczęśliwe.

Ale fatalna przepowiednia zakłóciła to szczęście.

— To kotka? — zapytał pewnego razu szyderczo przyjaciółka panny Henryki. — Winszuję ci kłopotu z topieniem, moja droga!

— Z jakim topieniem? Czego? — odpowiedziała zapytaniem zdziwiona panna Henryka.

— No, kociąt!

Panna Henryka i Anusia podskoczyły na tę myśl nieprzyzwoitą. Co? Ich Mruczka? Jak można na nią podobną potwarz rzucić! Fi, co za szkaradna myśl! Nie, to się po Mruczce nie pokaże!

Ale jednak do serc obydwóch pań zakradł się niepokój.

Drzwi i okna nigdy jeszcze nie były tak szczelnie zamknięte, a Mruczkę nie wypuszczano prawie z mieszkania. A przecież pewnego ślicznego wieczora, ciepłego, wonnego, gwiaździstego, panna Henryka i Anusia, zapalając lampy, drgnęły, spojrzały po sobie i pobladły...

W głębi ogrodu rozległo się czułe, miłosne miauczenie. Mruczka, drżąc z wzruszenia, nastawiła uszu.

Nie pomogła największa czujność. Gdy nadszedł drugi wieczór, dwie panny znalazły się same w mieszkaniu. Nie mówiły do siebie, tak były przybite, ale ciężkie westchnienia aż nadto wyraźnie wskazywały wielkość ich zmartwienia. Panna Henryka z zaciśniętymi zębami knuła plan zemsty, Anusia od czasu do czasu ocierała łzy ukradkiem.

Nareszcie chyłkiem, pokornie zjawiała się winowajczyni zbiedzona, zgłodniała, przyjęta grobowem milczeniem...

Była na tyle zuchwała, że zbliżyła się do pani i próbowała mrucząc pieszczotliwie, obetrzeć się o jej suknię. Panna Henryka odrzuciła ją gniewnie... Nie lepiej powitała ją Anusia i z pogardą rzuciła jej zwykły kawałek mięsa...

Mruczka nie doznała żadnych pieszczot, żadnych względów i spotykała ją ponura obojętność, albo surowe wymówki, łajanie... Mruczka zwinęła się w kłębek, zmrużyła oczy, jakby rozumiała wstyd, jaki spadł na nią. Zrobiła się tak mała, tak pokorna, w zielonych oczach było tyle błagalnej prośby, tyle szczerości, że budziła litość...

I wróciły dla niej złote czasy..

Ale pewnego razu Anusia przybiegła z góry zmieszana:

— Proszę panienki, proszę panienki! Mruczka już ma male... Słyszałam, jak miauczą w starym pudelku od kapelusza!

— Utop to wszystko! Utop jak najprędzej, abym nigdy już o nich nie słyszała — wołała piskliwie panna Henryka.

— Ja tam topić nie będę — oparła Anusia — zresztą kocica nie da się zbliżyć do dzieci... O mało nie skoczyła na twarz z pazurami...

Parę tygodni Mruczka żyła na strychu, przychodząc tylko do kuchni, aby coś porwać i uciec natychmiast. W czasie jej nieobecności i pannie Henryce i Unusi życie wydawało się szarem i smutnem.

Aż pewnego razu, podczas śniadania; niezwykle widowisko wprowadziło je w zdumienie. Mruczka chuda, wycieńczona, ale tryumfująca, wkroczyła do jadalnego pokoju, prowadząc za sobą czworo kociąt z aksamitnymi łapkami, z figlarnymi oczkami, z filuternymi minkami — tak śliczniutkich. że patrzącym radowało się serce.

— Jakie to ładniutki te maleństwa! — zawołała Anusia. Chyba już ich nie utopimy nigdy, prawda panienko?

Panna Henryka, bardzo wzruszona, nie odpowiedziała. A Mruczka stąpała dumnie w majestacie matki, pokazując dzieciom zakątki i schowanka mieszkania, które miały objąć w posiadanie. Wreszcie, zwracając wzrok ku swym paniom z miną zwyciężką, miauknęła, jakby im chciała powiedzieć:

— A co? Czy nie ładne mam dzieci?... Czy nie mogę być z nich dumna? Pewnie i wy jesteście zadowolone z tej niespodzianki?

I dwie stare panny, zdumione, zmięszane i rozrzucone czuły się, jakby upokorzone tym widokiem zaszczytnego macierzyństwa.

Lis mikita w bajce i wierzeniu ludowem u wschodnich Azyatów.

Przez

Prof. Bronisława Gustawicza.

(Dokończenie).

Raz byłem zmuszony — pisze mi kolega z Chin — dłuższy czas podczas moich zawodowych podróży zabawić w Cycykarze

(Isi-tsi-kar), stolicy prowincyi nadamurskiej. Guhernator, t. zw. generał tatarski, przydzielił mi do osobistej posługi i pomocy swego sierżanta. Był on z natury gadatliwy, w sam raz mężczyzna, którego mogłem o rozmaite rzeczy się wypytwać. On to opowiadał mi bardzo wiele ciekawych rzeczy o lisie-geniuszu i jego złych czynach. Miasto Cycykar posiada pomiędzy innemi budowlami piękną świątynię lisa-geniusza, którą wystawił z wdzięczności poprzedni gubernator za szczęśliwe wyleczenie jedynego swego syna. Tenże będąc chłopem, wśród zabaw zwichnął prawą rękę, która wskutek niezręcznego leczenia lekarza nie mogła wyzdrowieć. Chłopiec tedy cierpiał wielkie bóleści. Stroskany ojciec zwrócił się w końcu wskutek porady przyjaciół do kapłana — wypędzacza lisów geniuszów. Tenże obok swego szalbierstwa zdawał się posiadać jakieś empiryczne wiadomości z terapiutyki. Bądź co bądź zdołał przez zręczne złożenie i silny masaż chorą ręką w krótkim czasie wyleczyć, a hokus-pokus, jaki urządzał, posłużył mu tylko na to, aby swej wiedzy i mocy guślarskiej zabezpieczyć przynależny respekt, przynależne poszanowanie.

Przy wypędzaniu lisa-geniusza był mój sierżant raz obecny i zapewniał mnie, że stanowczo widział, jak lis-geniusz w postaci czarnego kota, zarażając powietrze strasznym smrodem, wyskoczył z chorej osoby i uciekł. Zdaje się tedy, że ci kapłani-egzorcyści, umieją w takim razie urządzać bardzo zręczne sztuki i sztuczki.

Tę zabobonność ludzi, mianowicie prostego ludu, wyzyskują — rozumie się samo przez się — w wysokim stopniu matacze. Ale Chińczykom nie można w tym względzie nie poradzić; a czyż u naszego ludu lepiej się dzieje? Raz — pisze mi tenże towarzysz z ław szkolnych — jeden z jego służących nabawił się reumatyzmu w barkach i górnem ramieniu. Zamiast posłuchać jego rady i poradzić się znajomego lekarza-misyonarza, który byłby go za darmo wyleczył, udał się do lekarza-czarodzieja, a ten twierdził stanowczo, że go opętał lis-geniusz. Kosztowało go to wiele pieniędzy, i reumatyzmu wcale się nie pozbył. Czyż nasz wieśniak w swej ciemności i uporności nie woli iść do ba-by-lekarki lub chłopca-wróża, aniżeli do lekarza?

Uszanowanie dla lisa okazywane idzie nieraz tak daleko, że w rozmowie nie można go nazwać swojskiem mianem „hu-li“, t. j. lisem, lecz mianuje się go „hu-yeh“ t. j. „pan lis“. Oswojone lisy w Chinach trzymają nie tylko w świątyniach, ale

bardzo często i po domach; pielęgnują je starannie i karmią, aby tylko pozyskać ich życzliwość, ich łaskę.

Z tego, cośmy powiedzieli, należałoby przypuszczać, że w Chinach lisów nie zabijają. Wszelako tak nie jest. Futro lisie est po owczem najbardziej rozpowszechnione i cenione, tudzież najwięcej używane, mianowicie przez Chińczyków północnych. Chciwość, chęć zysku przytłumia u niejednego wszelkie skrupuły religijne i skłania go do polowania i zabijania lisów dla pięknej jego skóry. Jedna koza lisia nie przynosi wprawdzie szczęśliwemu łowcy zbyt wiele zysku. W sprzyjającej atoli porze uzyskaną kwotę pieniężną za futra lisie nie można gardzić. Niektóre okolice Chin nie tylko obfitują bardzo w lisy, lecz handlarze są gotowi odkupić futra zabitych lisów. Same Chiny przerabiają ich wielką ilość, ale z drugiej strony rozwinął się w ostatnich latach znaczny wywóz futer lisich do Europy, gdzie znane są one w handlu pod nazwą „lisów-shansi”. Popłatne jest także polowanie na białe lisy, które znajdują się w północnych Chinach, głównie zaś i licznie w Mongolii.

W uściecech ludu krąży mniemanie, że lis pospolity dosięga wysokiego wieku, lis biały 1000 lat, a lis czarny, właściwie niebieski, 10.000 lat.

Lis niebieski dostarcza Chińczykom bardzo cennego futra. Piękna koza zimowa lisa niebieskiego może nosić tylko cesarz, a on jako odznakę szczególniejszego hołdu robi z niego podarunki wysoko położonym i zasłużonym dostojnikom państwa z osobnem pozwoleniem noszenia tego futra. Futrem lisa niebieskiego przyozdabiają po największej części czapki albo peleryny. Utrzymują, że futra tego nie ima się śnieg, ani też szron i mgła. Szronu i mgły obawiają się Chińczycy w wysokim stopniu, bo w nich upatrują przyczyny wielu chorób.

Według powszechnego zdania należy odróżnić w lisie dwa gatunki, jeden pospolity, a drugi szczególniejszy, który może być lisem-geniuszem. Z lisa pospolitego nie sobie nie robią myśliwi; polują też na niego zapalczywie, bo im szkodzić nie może, owszem przynosi pożytek z swego futra. Lisa-geniusza atoli wystrzegają się.

W końcu podam kilka bajek Chińczyków i Mongołów, w których lis odgrywa główną rolę. Wszystkie te baśnie wykazują przebiegłość i chytrłość mistrza lisa-mikity.

Cesarz Chin, — tak opowiada stare podanie — zapytał się raz swego doradcy, dlaczego lud obawia się i drży przed jednym z jego ministrów? Tenże odpowiedział: Obawę, którą lud objawia przed tym mężem, można doskonale objaśnić następującą bajką. Raz schwycił tygrys lisa. A ten błagając go o darowanie życia, rzekł: „Niebo w wielkiej swej łaskawości zrobiło mnie królem zwierząt! Jeżeli mi nie wierzysz, idź naprzód, a ja pójde za tobą“. — Tygrys szedł naprzód, a wszystkie zwierzęta strach zdjął. Tygrys atoli nie spostrzegł zaraz oszustwa lisa i nie poznał, że on sam jest tym, przed którym zwierzęta drżą i korzą się. Otóż ten strach, który sieje ów minister wśród ludu, nie tkwi w nim samym, lecz w żołnierzach będących pod jego rozkazami, zapomocą których trzyma kraj cały w karbach.

Według innej baśni lis i ptak zawarły z sobą sojusz przyjacieli i żyły razem. Gdy ptak wyleciał za żerem dla swych młodych, zjadał lis regularnie jedno z nich. Powtarzało się to tak długo, aż znikły wszystkie młode. Zapóźno spostrzegła się matka, jaki to smutny los spotkał jej dzieci. Postanowiła tedy zemścić się na lisie. Podczas swoich wylotów spostrzegła raz potrzask, zastawiony przez myśliwego. Obietnicą obfitego łupu zdołała zwać tam lisa, który padł też ofiarą swej chciwości, wpadłszy w potrzask.

Raz przyszedł lis do opuszczonego dołu farbiarskiego, w którym znajdowało się trochę farby niebieskiej. Wskoczył tedy do dołu i pofarbował swoje futro na piękny błękit. Poszedł stąd i pokazał się zwierzętom. Te nie poznały go i pytały: „Kto jesteś?“ — Lis odpowiedział: „Jestem królem zwierząt“. — Lew i inne zwierzęta oddały mu natychmiast swoje uszanowanie, swoją czolobitność. Od tego czasu jeździł lis-mikita podczas swych podróży zawsze na grzbiecie lwa i grał rolę pana i władcy nad wszystkimi zwierzętami. Osobliwie dumnie zachowywał się na zgromadzeniu lisów. W jakimś czasie potem posłał on żywność i podarki wszelkiego rodzaju swej matce. Wszelako matka nie przyjęła tych darów, dodawszy tę uwagę, aby sobie nie zaprzętała głowy gwoździ, lecz poświęcił się całkowicie rządowi swego nowego królestwa. Już poprzednio wybuchła zazdrość pomiędzy lisami, a teraz skoro lisy dowiedziały się, skąd jest rodem ich nowy król, zwróciły się do innych zwierząt i rzekły: „Wasz król nie jest niczem innym, jeno lisem! Jeżeli go czcicie, szanujecie, dlaczego nas szanujecie? On jest zupełnie temsamem, co i my

i niczem lepszym od nas". — „Jakto, niż wy?" — zawołały zwierzęta, — „to być nie może. Wszak ma inną barwę futra!" Na to lisy: „Co się tyczy tej barwy, to czekajcie aż do pierwszego miesiąca wiosny. W nocy tego miesiąca, w którym panuje gwiazda „Byk“, szeczekają wszystkie lisy. Jeżeli który z nas nie szeczeką, wypadają mu wszystkie włosy. W owej nocy możecie pytanie rozstrzygnąć, ażali on jest lisem, a wtedy przekonacie się, że wasz mniemany król nie jest niczem innym, jak najpospolitszym lisem, zupełnie takim samym jak i my". Gdy nadeszła ta noc, szeckały wszystkie inne lisy głośno. Ale lis niebieski z obawy, by nie utracił włosów swoich, szeckał, ale tylko przytłumionym głosem, ale przecież jeszcze tak głośno, że mogły go słyszeć inne zwierzęta. Przekonały się one tedy, że ten co sobie przywłaszczył królestwo, był tylko lisem. Lew uniesiony gniewem z powodu tego oszustwa zabił oszusta jednym uderzeniem łapy.

Tyle o lisie mikicie w bajce i wierzeniu ludowym Chińczyków.

Fizyologia wyścigów

w ich stosunku

do krajowej hodowli koni

przez
Dra Juliana Ochorowicza,
kandydata nauk przyrodniczych.
(Ciąg dalszy).

VI.

Wagi i dżokieje.

Na dzisiejszych torach wyścigowych rozpanoszyła się *waga lekka*. W większej części gonitw konie chodzą pod taką, jaka w praktyce niema najmniejszego znaczenia. Dlaczego? Bo tak każe pani Rutyna. Żadnej innej racji niema*)

*) W niezmiernie interesującej swojej pracy „O trenowaniu koni“ pisał p. Stan. Wotowski przed trzema laty (w *Jeźdźcu i Myśliwym*): „Sigając początku wyścigów, do ich pierwszych stałych podstaw, nie widzimy nigdzie, aby jaka komisya, złożona z ludzi nauki i doświadczenia, unormowała wagi. Wagi te unormowały się niejako same przez

Owa zaś pani Rutyna jest bardzo sędziwą matroną, urodzeniem swojem bowiem sięga XVII wieku. Jeszcze zanim powstał koń „pełnej krwi“, odbywały się w Anglii wyścigi, dla zabawy wielkich panów. Brały w nich udział małe koniki, zwane „Barb“. Na owe konie, raz dlatego, iż nie były silne, a powtórze ponieważ lordowie uważali sobie za ułżwienie sięgać się we własnej osobie, sadzano młodych chłopców stajennych.

Później koń pełnej krwi, roślejszy i silniejszy, wyrugował całkiem owe małe *Barby*, ale zwyczaj używania lekkich jeźdźców pozostał. Ponieważ zaś młodzi chłopcy stajenni nie mieli dość siły do powodowania koniem pełnej krwi, zaczęto dobierać starszych, ale karłowatych, gdyż popsute lekką wagą i nadmierną szybkością konie już cięższych jeźdźców nie znosiły. I w ten sposób z konieczności, a raczej z chęci wygrywania *quand même*, wytworzono rasę „lekkich wag“. dotychczas panującą na torze.

Co więcej, gdy w następstwie wraz z postępowaniem się szybkości konia pełnej krwi, zaczęła się zmniejszać jego siła, trzeba było jeszcze zniżyć wagę. Od ustępstwa do ustępstwa doszło do tego, że wyścigi dzokiejskie stały się paryodą normalnej jazdy wierzchem i że dzisiejszy hodowca, chcąc puszczać konia w niektórych biegach, musi pożyczać dzokieję z innej stajni, bo jego własny ma o parę funtów za wiele!

Łatwo zrozumieć, że taki jeździec-niedorostek stał się wielką figurą, przeświadczoną o ważności swego posłannictwa. Hodowca musi znosić kaprysy swojej „lekkiej wagi“, ba, nawet szacherki dlatego tylko, że równie lekkiej a silniej nie znajdzie. Panowie zaś ci, czując się niezbędnymi, umieją z sytuacji korzystać i chętnie nawet opłacają odnoszenie a wysokie korzyści barbarzyńskim treningiem, wygacaniem, przecyzszczaniem się i głodzeniem (znane są wypadki śmierci z tego powodu), celem stracenia nabytego przez zimę tłuszczu. Od czasu do czasu jeden z nich kark kręci, ale zanim to nastąpi, krzywdą im się nie dzieje. Publiczność zaś uważa cały ten system za tak naturalny, że gdyby naraz kulasy, zwani dzokiejami, zjawiły się na torze, sądziłaby że buda zamknięta.

się, zwyczajem, a następnie tylko *Jockey-Cluby* rozgarnkowały je popodług wieku koni i dystansu... Gdzież jest zatem niezbita zasada, że koń z taką tylko a nie inną wagą próbowany być może? Tej zasady nie widzimy: *rutyna, empiryzm i moda wyrobiły skalę wag, nie anatomia i fizjologia oparta na doświadczeniu*“.

A jednak dzień ten będzie pamiętnym w historii hodowli pełnej krwi, w którym towarzystwa wyścigowe dojdą do przekonania, że dziecinnie niska waga niema sensu!

I proszę mi nie mówić, że owe niskie wagi mają ochraniać konia!

Przedewszystkiem już prosta obserwacya uczy, że zakule nie konia podczas wyścigu, trafia się częściej w biegach dżokiejskich, niż w dżentelmańskich, to znaczy pod cięższą wagą. Powtóre, samą wagą nikt zakule nie spowodzi, a tymczasem samą szybkością — bardzo łatwo: jeden krok za gwałtownym może naruszyć ściegno. W ostatnim sezonie naprzykład zakulała „Orbitto“ Grey’a, idąc w szybkim biegu pod *najlżejszą wagą* (niosła 127 funt., gdy dwa wygrywające konie niosły 142 i 50 fun. a tymczasem właśnie w takich warunkach, to jest gdy jeden koń niesie więcej od innych, waga daje się we znaki i tylko w tym jednym wypadku można mówić, że niszczy konia. Przy *równej* wadze, chociażby *większej* (rozumie się w granicach racjonalnych), o jej szkodliwości nie może być mowy. Większy ciężar rozkłada się równomiernie na wszystkie mięśnie, a bieg z konieczności prowadzony jest wolniej. Zaś nadmierna szybkość bez wagi, zmusza do nadmiernej pracy tylko niektóre mięśnie i zrywa równowagę fizyologiczną. Więcej szkodzi człowiekowi całodzienna gra na fortepianie, niż całodziennie kopanie w ogrodzie, ale noszenie umiarkowanych ciężarów. Nikt też od konia wyścigowego nie żądał, żeby ciągnął tramwaje, ale mamy prawo wymagać, *ażebym waga jaką nosi, była zbliżona do ludzkiej*.

Zły przykład obniżania skali wag i skracanie dystansów dała Anglia i bardzo źle na tem wyszła. W kraju tym przed laty czterdziestu hodowla koni wyścigowych stała tak wysoko, że o konkurencyi zagranicznej nie mogło być mowy i konie obce dopuszczane były nie tylko bez odwagi, *ale z mniejszą wagą* (niosły 14 funtów mniej). Kiedy jednak Anglia pod naciskiem spekulacyi zmniejszała dystanse i wagi, tudzież dopuszczała coraz to młodsze konie do wyścigów, Francya zachowała pierwotne dobre tradycye i wskutek tego hodowla jej bardzo szybko wzrosła. Gdy około roku 1857 francuski koń „Monarque,” wygrał lekko jeden z głównych biegów w Anglii, zdumienie Anglików było tak wielkie, że historycy wyścigów nie znajdują słów na wypowiedzenie wrażenia, jakie ten tryumf na nich wywarł.

Od tej chwili zniesiono przywileje dla koni obcych, a w niektórych gonitwach zaczęto je obciążać nadwagą. Mimo to „Monorque” wygrywał ciągle i dał się pobić dopiero pod najeięższą wagą w *handicape*. Ta przegrana odebrała mu dawną fantazyę i wkrótce zszedł z toru z naruszonymi nogami.

Tenże los spotkał jego syna, niechrówanego „Gładyatora”, który wygrał angielskie Derby i dał się pobić dopiero pod nadwagą 52 funtów! Takiego despektu Anglicy znieść nie mogli i wykupili konia czteroletniego, już bez nóg, na reproduktora, za sumę około 200,000 franków.

Ktoż spadły z księżycy mógłby sobie wyobrażać, że wyścigi są tak urządzone, ażeby koń lepszy wygrywał stale, a koń gorszy stale przegrywał. Illuzya: Wyścigi są tak urządzone, żeby w nich było jak najwięcej hazardu, ażeby koń „z sercem” mógł jak najprędzej stracić nogi i seree, i żeby publiczność mogła się zgrywać.

Jesteś miernotą — masz za to kilka lub kilkanaście funtów mniej; odznaczyłeś się — masz za to kilka albo nawet kilkadziesiąt funtów więcej. Do pewnego czasu koń lepszy znosi nadwagę, a publiczność utwierdza się w przekonaniu, że jest niezwykły, i gra na niego; ale przychodzi taka chwila, iż dzielny rumak ma już tego gnębienia dosyć i przegrywa, a wraz z nim całe tłumy nieopatrznych.

W ten sposób koń dobry traci wiarę w swoje siły i zrywa nogi, ale za to od czasu do czasu jakiejś miernocie dostanie się nagroda. Jest to system protekcyjny w najnowszym znaczeniu tego wyrazu, bo popierający wyłącznie konie gorsze, z uszczerbkiem lepszych.

W tem miejscu widzę wzruszanie ramion czytającego sportsmena; ale ponieważ wiem z góry, co mi powie, odpowiem krótko:

Rozumiem doskonale, że nie tylko *najlepsze* konie są potrzebne, ale i *średnio dobre*, to też nikt nie broni towarzystwom wyścigowym ułożyć tak długiej skali, jak im się podoba, i w szeregu nagród, na przykład do 4,000, 3,500, 3,000. 2,500 rubli i t. p. wyłączać można, ale skoro się dopuszcza wszystkie, niechże będzie równa miara dla wszystkich,

Nie mówię już o tem, że system nadwagi i ulgi w wadze jest zachętą pod adresem hodowców do oszukiwania publiczności. Dzisiejszy system wyścigowy uczy hodowców udawania w je-

dnym biegu z mniejszą nagrodą, że ich koń jest do niczego ażeby potem tem łatwiej mogli wziąć inną nagrodę, znacznie większą.

System protekcyi miernot sięga tak daleko, że w nagrodach sprzedanych koń najwyżej oceniony nosi największą wagę a najniżej oceniony — najmniejszą. Wskutek tego właściciele urządzają takie farsy, że swojego konia oceniają na rs. 1, ażeby mieć szansę zdobycia choć drugiej nagrody. Tak naprzykład w roku zeszłym, w biegu sprzedażnym z przeszkodami. „Rubin“ oceniony był na 1,200 rubli; „Diadema“ na 800 rubli: a „Reżana“ na 1 rubel, wskutek czego „Rubin“ niósł 190 funt., „Diadema“ 176, a „Reżana“ wzięła drugą nagrodę. Podobnie w płaskiej nagrodzie sprzedażnej, gdy inne konie — lepsze, ocenione były na 2,040, 1,500, 1,000 rubli i t. p., „Pro Patrię“ oceniony na 1 rubel, wskutek czego, niosąc o 20 fun. mniej, przysła drugą.

Niech mi szanowne Jockey-kluby wybaczą, ale to nie są rzeczy seryo!

Jak wiadomo, zgubienie wagi jest powodem do zdyskwalifikowania konia, chociażby niewątpliwie wyścig wygrał. W zasadzie nie można mieć nic przeciwko temu, bo tego wymaga sprawiedliwość. Ale zbyt uczona drobiazgowość i bezwzględność w przepisach prowadzi do wprost przeciwnego rezultatu. U nas na przykład zgubienie *dwóch funtów* wagi, stanowczo odbiera prawo do nagrody (§ 314), chociaż każdemu wiadomo, że nie tylko dla dojrzałego konia, ale nawet dla dwulatka, dwa funty nie robią różnicy. Gdyby taki bieg uznano za nieważny, niktby nie miał przeciw temu, ale z jakiej racyi uważać za wygrywającego drugiego konia, który tylko przypadkowi zawdzięcza pierwsze miejsce?

Jest zaś już stanowczo niesprawiedliwością, gdy przepisy, czynią jednego konia odpowiedzialnym za drugiego. Tak na przykład § 315 orzeka, że w razie, gdy właściciel puszcza dwa lub więcej koni i *jeden* z nich zgubi wagę, to tem samem i wszystkie *inne* konie tegoż właściciela tracą prawo do nagrody. Z jakiej racyi? Więc na przykład, gdyby p. Grabowski puszczał „Chamberyego“, „Barbiera“ i „Testę Biancę“, a p. Gnoińskiego „Łowczego“, i „Chambery“ zgubił dwa funty, to „Łowczy“, chociażby przyszedł ostatni, otrzymałby pierwszą nagrodę?...

Inna rzecz, czy należałoby pozwalać jednemu właścielowi puszczać aż trzy konie razem, ale skoro się pozwala, niechże będzie sprawiedliwość dla wszystkich. Nie należy bowiem zapominać, że taki wyrok sędziów, jakkolwiek zgodny z przepisami, oznaczałby w totalizatorze przerzucenie kilku tysięcy rubli z kieszeni ludzi pracujących rozsądnie, do kieszeni kilku, grających nierozsądnie. Wszelkie zaś deklamowanie przeciw zgrywaniu się całych tłumów na wyścigach na nie się nie przyda, dopóki w samym systemie wyścigów tkwić będzie źródło hazardu.

(C. d. n).

O skutkach męczenia zwierząt.

Sprawiedliwy lituje się i nad bydłą. Jaką miarą mierzysz taką ci odmierzona będzie. Jeżeli siejesz wokoło siebie nasiona niesprawiedliwości, nie możesz spodziewać się dla siebie dobrych owoców. Wiedząc, że jednostki, a następnie i całe społeczeństwa urabiają się podług otaczającego przykładu, łatwo zrozumieć, że niesprawiedliwość popełniona nawet względem zwierząt, ujemnie wpływa na moralność otoczenia. Niesprawiedliwością nazywam tu złe obchodzenie się ze zwierzętami. Bo jakżeż nazwać postępek znęcania się nad zwierzęciem, które na nas pracuje? Ale pominawszy stronę moralną, która nie dla każdego jest zrozumiałą, strona praktyczna, strona własnego interesu również przemawia za łagodnem obchodzeniem się ze zwierzęciem.

Jakąż korzyść otrzymujemy z męczenia zwierząt? Oprócz chorobliwego zadowolenia z możności niehamowania namiętności żadnej realnej korzyści nie mamy, a natomiast tylko materyalną stratę. Zwierzę męczone staje się słabszem, a przez to nie może w zupełności wypełnić tych posług, dla których je otrzymujemy. Męczone zwierzę traci na sile, na wadze i traci na czynnościach organów. Krowa np. daje mniej mleka. W rozdrażnionym organizmie zmienia się odżywianie, a przez to zamiast normalnych części składowych zjawiają się nienormalne, a między niemi toksyny, które zatrują cały organizm i zmniejszają jego działalność. To samo możemy zauważyć na sobie podczas zmartwienia. Pytam się więc, cóż zyskasz człowiecze, gdy osłabisz swego konia?

Drugim rodzajem znęcania się bywa przeciążanie pracą. I tutaj zastanówmy się, o ile takie przeciążanie jest korzystne

dla człowieka, czyli innemi słowy — przy jakim obciążeniu otrzymujemy największą ilość pracy od zwierzęcia. Na to pytanie niech nam odpowie fizjologia. Siła pociągowa i ruch zwierzęcia zależy od skurczu mięśni. Mięsień, czyli mięsień, tem wyżej podnosi ciężar, im mniej jest obciążony. Pracą mięśnia nazywamy wielkość ciężaru podniesionego na pewną przestrzeń w jednostkę czasu. Mięsień podnoszący 80 gramów na 8 milimetrów, skutecznia pracę 600 gramomilimetrów. Pytanie zatem, przy jakim obciążeniu największa jest praca.

Obciążony mięsień stopniowo coraz więcej, obserwujemy jak wysoko będzie podnosił ciężar i następnie obliczamy, jaką dokonał pracę przy każdym obciążeniu. I tak:

przy obciążeniu						
gramami	0	50	100	150	200	500
podniósł ciężar wy-						
ko na milim.	14	9	7	5	2	0
dokonał zatem pra-						
cy gramomilimetrów	0	450	700	750	400	0

Widzimy więc, że praca mięśnia stopniowo wzrastała i przy obciążeniu 150 gramów dosięgła szczytu, a począwszy od 150 gramów zmniejszała się i nakoniec przy obciążeniu 500 gram. doszła do 0. Jakież więc obciążenie jest najkorzystniejsze? Rozumie się średnie — 150 gramów, wynoszące prawie trzecią część maksymalnego ciężaru, jaki mięsień z wielkiem napięciem podnieść może. To samo się odnosi i do złożonego mięśnia, jakim jest pociągowe zwierzę. Gdy obciążymy konia trzecią częścią maksymalnego ciężaru, wtedy koń, robiąc stosunkowo duże kroki i nie zatrzymując się w drodze, w jedną jednostkę czasu taką odbędzie przestrzeń, że praca wypadnie największą, zatem i najkorzystniejszą dla człowieka — właściciela.

Widzimy więc, że ludzkie obchodzenie się ze zwierzętami korzystne jest dla samego człowieka, i tylko złe instynkty popychają go do działania na swoją własną szkodę.

Jak przyuczyć gołębie do żerowania po za domem.

Gołębie zwyczajne, tak zwane poluchy, które potrafią żyć własnym przemysłem, szukając karmy po za domem, a to na

drogach, gościńcach, rynkach i placach w mieście, na polach i t. p. trzeba do tego sposobu żywienia przyuczyć.

W tym celu dawać karmę na podwórzu, lecz nie w jednym miejscu, tylko co dnia gdzie indziej, przyczem gwizdawką zwoływać je w to miejsce. Jeśli gołębie przyzwyczaiły się zlatywać na gwizdnięcie do swego hodowcy, wywabia się je na ulicę, gdzie się im nieco karmy posypie. Następnego dnia zwołuje się je na inną ulicę lecz nieco dalszą i tak dalej, aż gołębie nabiorą śmiałości i przestaną obawiać się przechodzących ludzi lub zwierząt.

Do żerowania w polu trzeba je także przyuczyć, lecz postępowanie będzie nieco odmienniejsze. Wybiera się z gołębnika dwie lub trzy pary gałębi, zamyka je w osobnej komórce, gdzie prócz wody nie mogą znaleźć do jedzenia.

Następnego dnia, dobrze wygłodzone gołębie, wsadza się do klatki i wynosi w pole. Tu posypuje się nieco grochu w klatce i szeroko dokoła klatki. Następnie z ukrycia za pomocą sznurka uchyla się zwolna drzwiczek. Gołębie wybierawszy ziarno w klatce, wylażą z niej, a znajdując pokarm przed drzwiczkami nie odlatują zaraz tylko żerują, aż wybierają wszystek rozrzucony groch, poczem wracają do domu.

Tego dnia i przez następnych kilka nie dawać im karmy w domu, lecz posypywać w tem miejscu na polu, gdzie żerowały po wyjściu z klatki.

Jeśli się tak przyuczy dwie lub trzy pary, to one poprowadzą ze sobą wszystkie inne gołębie.

Rozumie się, że w porze siewu wiosennego, nie można takich gołębi wypuszczać z gołębnika. Nie szkodzą one wprowadzić tym zasiewom, u których ziarno przykryte ziemią wypuszcza tylko kieltek na wierzch jak n. p. pszenica, żyto, jęczmień, owies i t. d., bo na takich zasiewach wybierają tylko ziarna, leżące na powierzchni, których rolnik bronią nie przykrył, a któreby się i tak zmarnowały. Ale niszczą za to niemiłośniernie, zasiewy grochu, wyki i soczewicy, u których przy kielkiewaniu, korzonek tkwi w ziemi, a ziarno całe wylazi na wierzch.

W porze zimowej poluchy są biedne, bo nie mogą znaleźć żeru nigdzie, trzeba je przeto żywić w domu, a podawać jako karmę, rozgotowane ziemniaki, ugniecione z otrębami, oprócz tego trzeba dawać im nieco ziarna, a czasami odrobinę rozkruszonego chleba.

Rozmaitości.

Cena dzikich zwierząt. P. Karol Hagenbeck, sławny handlarz dzikich zwierząt, podaje następujące szczegóły o ich cenie. Dowiadujemy się, iż lwy, jakkolwiek drogo się płacą, nie są jeszcze najkosztowniejsze, a nie najtrudniejsze do otrzymania. Sprowadzają je z egipskiego Sudanu i z Senegalu. Nubijski dorosły lew, wart jest około 200 funtów szterl., senegalski 100—150. Najpiękniejsze pochodzą z północno-afrykańskich gór. Wprawdzie już teraz wyginęły, tylko te, które jeszcze istnieją w niewoli, krzyżują się z nubijskimi lwami. Samiec ma wspaniałą grzywę i płaci się od 250—300. Podobnie można mieć tygrysa z Sumatry za 75—100 funtów, a dzikie, młode bengalskie tygrysy warte są 150—200 funtów sztuka. P. Hagenbek sprzedawał sybirskie tygrysy po 259—300 funt. Piękny słoń indyjski może kosztować 120 funtów, ale afrykańskiego zaledwie za 300 można dostać. Są one już teraz bardzo rzadkie i od r. 1880 tylko pięć sprowadzono do Europy. Nader rzadkie są również hipopotamy i nosorożce. Ogród zoologiczny londyński kupił hipopotama za 800 funtów, a nosorożca dwuletniego za 1.250 funtów. Nadzwyczaj jest trudno przewieźć te zwierzęta żywcem. Trzeba je pochwylić, gdy są jeszcze bardzo młode i żywić je mlekiem. Zeszłego października p. Hagenbeck otrzymał z Mongolii dwadzieścia ośm dzikich koni, niektóre sprzedał po 500 funtów. Para żebr kosztuje od 300—500 funtów. Tresowane pod siodło przedstawiają naturalnie jeszcze większą wartość. Węże i małpy również dochodzą do cen wysokich. Młode goryle płacą się przeszło 150 funtów. Niektóre gatunki jeleni i owiec płacą się po 75 funtów sztuka. Ale najdroższe naturalnie są zwierzęta tresowane do sztuk i przedstawień. P. Hagenbeck posiada grupę złożoną z trzech lwów, sześciu bengalskich tygrysów, trzech tybetańskich niedźwiedzi, dwóch polarnych i czterech dzików, której nie chciał sprzedać za 100.000 funtów.

Z klatki na wolność wypuszczono całą gromadkę ptaków śpiewających przy ulicy Janowskiej l. 72. Agent policyi Dom zakwestyował tam mianowicie u niejakiego Jana Królika ośm klatek ptaków, które natychmiast wypuścił na świeże powietrze. Uwolnione z więzienia ptaki rozniosą śpiewem swym po całym świecie dobroć serca p. Doma, a tow. ochrony zwierząt będzie bardzo wdzięczny jemu, jak dalej będzie ścigał ptaszników i zaopiekuje się także placem Strzeleckim, gdzie ptasznicy jeszcze ciągle rej wodzą.

Jeleń na ulicy. Polowanie na jelenia odbyło się w tych dniach ra ulicach przedmieścia Gampstead pod Londynem. Zwierzę spostrzeżono najpierw w Golders i rozpoczęła się wkrótce gonitwa, w której wzięli udział policyjanci, mleczarze, zamiatacze ulic i kupa gawieździ. Jeden z policyantów, który chciał królowi lasów zagrozić drogę, został powalony na ziemię i porządnie stratowany. Jeleń uciekł ze zwierzyńca w Barnet. Po kilku godzinach dopiero udało się schwytać jelenia.